

0 przekonywaniu i interesach

27 listopada 2011

Czym jest demokracja: dyskusją czy grą interesów? Czy chodzi w niej o to, by mieć większość, która da radę narzucić swoją wolę mniejszości, czy raczej o to, by przekonać innych? I wreszcie: czy przekonywanie w ogóle jest możliwe? Czy interesy determinują poglądy, czy może jednak możliwa jest zmiana poglądów (pozornie?) wbrew własnym interesom? Do czego piję? Baczny lewicowy czytelnik domyśli się od razu: czerwona koszula Palikota i jego niespodziewane zbratanie się z Kancelarią Sprawiedliwości Społecznej – mające dla tej ostatniej jakże wymierne skutki, czego nie omieszczało zauważyć wielu komentatorów. Zanim jednak wydamy wyrok w kwestii szczerości Palikota i tego, czy Ikonowicz się sprzedał, spójrzmy na sprawę nieco bardziej filozoficznie i zastanówmy się, o co w ogóle chodzi w demokracji. Rozważania teoretyczek demokracji deliberatywnej mogą nam pomóc wyjść poza pewne „oczywistości” i pokazać, że to, co wydaje się „prawdziwie lewicowe”, tak naprawdę jest niestety do bólu prawicowe.

Ale do rzeczy. Iris Marion Young zestawia projekt demokracji deliberatywnej z modelem nazwanym przez nią demokracją opartą na interesach (interest-based democracy), gdzie demokracja przedstawiona jest jako gra interesów, w której każdy uczestnik wyraża za pomocą głosu swoje preferencje, tworzy strategie i wchodzi w koalicje pozwalające na ich najefektywniejszą realizację, a wynikiem procesu demokratycznego jest polityka odpowiadająca interesom większości.[1] Zwolennicy demokracji deliberatywnej krytykują ten model za jego irracjonalność i prywatyzowanie procesów politycznych: obywatele nie muszą tu wychodzić poza swoją partykularną perspektywę ani uzasadniać swoich decyzji. Nie ma też tutaj miejsca na sprawiedliwość, którą przecież chcielibyśmy uznać za warunek decyzji posiadających demokratyczną legitymację. Model oparty na interesach wychodzi

ponadto od teoretycznej fikcji: realni ludzie nie posiadają spójnych i uporządkowanych preferencji, kształtują się one dopiero w dyskusji, po zapoznaniu się z możliwościami, jakie daje obecna sytuacja, oraz z punktem widzenia tych, których nasze wybory dotyczą.[2] Jeśli dowiemy się, że nasza decyzja spowoduje poważną krzywdę innych, będziemy prawdopodobnie chcieli ją zmodyfikować. Dyskusja jest narzędziem przekazywania informacji, a przecież żadna jednostka nie posiada całej wiedzy niezbędnej do podjęcia sprawiedliwej decyzji, nikt nie obejmuje wszystkich punktów widzenia. Ponadto proces publicznej deliberacji zmusza uczestników do formułowania swoich preferencji w terminach akceptowalnych dla wszystkich, zmusza do uwzględnienia interesów innych albo podania dobrych powodów ich naruszenia, jeśli nasze interesy wchodzą z nimi w konflikt.

A zatem demokracja oparta na interesach albo dyskusji. Który z tych modeli można uznać za bliższy lewicowym ideałom? Drugi, oczywiście że drugi. Wbrew marksistowskiemu twierdzeniu, że byt kształtuje świadomość. Dlaczego? Parę argumentów zostało przedstawionych w poprzednim akapicie, ale można ponadto pokazać, że model oparty na interesach jest sprzeczny z kilkoma ważnymi lewicowymi wartościami.

Po pierwsze, jego podstawą jest czysto kapitalistyczna antropologia. Człowiek jest w niej rozumiany jako posiadacz interesów, które determinują, kim jest. Jest dokładnie owym egoistycznym maksymalizatorem zysku, jakim chce go widzieć kapitalistyczna racjonalność opłacalności. Nie liczą się tutaj relacje z innymi ludźmi, nie ma wartości takich jak współczucie, solidarność czy zrównoważony rozwój. Nie ma też szerszej wizji świata, idei wykraczającej poza doraźne uwarunkowania.

Po drugie, w modelu opartym na interesach to pochodzenie stanowi esencję człowieka. Tak samo jak Żyd nie może stać się Polakiem, tak też milioner nie może zostać socjalistą – to proste. Urodzenie się w takiej czy innej rodzinie czy

przynależność do danej grupy społecznej determinuje kategorię człowieka przyporządkowując go do „prawdziwych Polaków” albo „prawdziwych lewicowców”. Halo? Czy wszyscy Państwo tutaj urodzili się lewicowcami? Bo ja na przykład nie. Kiedyś też co gorsza nie byłam nawet feministką i wygłaszałam znane do bólu komunały o ich zakompleksieniu i że ja nigdy nie czułam się dyskryminowana, bo piękne różnice itd. I w pewnym momencie (pamiętam to całkiem dokładnie, chociaż było to dawno) – zmieniłam zdanie. To się proszę Państwa zdarza. Ponieważ jesteśmy ludźmi, czyli podmiotami, które mogą się zmieniać. Owszem, jesteśmy też kształtowani – przez byt, a może nawet bardziej przez różnego rodzaju idee czy relacje międzyludzkie, jakie nam się po drodze trafiają. Ale założenie, że nie mamy na to żadnego wpływu, odbiera nam podmiotowość i czyni nas tylko i wyłącznie przedmiotami działania społecznych struktur, procesów dziejowych, ewolucji czy memów. Jeśli upodmiotowienie ma być wartością lewicową, to zdolność do zmieniania zdania musi być tym, do czego dajemy innym prawo i co w nich szanujemy.

Po trzecie, jeśli nie można przekonywać, to tym, co się tak naprawdę liczy, jest siła. Jeśli inni mają sprzeczne interesy do naszych, nie ma wyjścia – musimy z nimi walczyć! Nie ma mowy o współpracy czy dobru wspólnym, a to są jednak, jak sądzę, kluczowe elementy lewicowego myślenia. Rewolucyjna lewica-macho wydaje mi się dziwnie bliska prawicowemu uwielbieniu dla siły, zwłaszcza pod postacią romantycznej husarii w twarzowych puszkach...

Po czwarte, dyskusja jest sposobem na to, by mogły zostać wyartykułowane różnice i byśmy pomimo to potrafili coś razem uzgodnić. Myślenie oparte na interesach ujednolica – dokładnie tak samo jak prawicowy nacjonalizm. Albo twoje interesy są zbieżne z naszymi, albo nie, albo jesteś z nami albo przeciw. Jeśli nie da się przekonywać, to nie da się też współpracować z tymi, co się od nas różnią. Na gruncie takiego myślenia jedyną formą współpracy są dobrze znane polityczne kompromisy:

wy nam dacie stanowisko, a my was poprzemy w głosowaniu, ale czy tego rodzaju – nomen omen – handlowanie można nazwać lewicowym? Czy ma to cokolwiek wspólnego z jakimikolwiek ideami czy zasadami?

Podkreślmy, że przyjęcie modelu demokracji opartego na dyskusji nie oznacza, że uznajemy ją za lek na całe zło, że nie zauważamy, że silni mogą brutalnie narzucać swoje zdanie słabszym pozorując wolę dialogu. Wspomniane wyżej filozofki spierają się na przykład, czy do zapewnienia równości w dyskusji wystarczą odpowiednie reguły proceduralne i oparcie się na racjonalnej argumentacji – tak twierdzi Seyla Benhabib; czy też powinniśmy uwzględnić czynniki retoryczne, emocjonalne oraz istniejące społeczne stereotypy sprawiające, że pozornie racjonalna dyskusja może wykluczać czy deprecjonować argumenty przedstawicieli pewnych grup społecznych – takie zdanie wyraża Iris Marion Young. Ale niedostatki równości w dyskusji czy możliwe nadużycia nie świadczą przecież o tym, że powinniśmy całkowicie zwątpić w możliwość przekonywania i zamiast tego ulec modelowi opartemu na interesach i brutalnej sile.

Neoliberalizm po latach „realnego socjalizmu” wydał się większości Polaków jedynie słuszną ideologią gospodarczą. Na zasadach przeciwieństwa, ale przede wszystkim jako „naukowo dowiedziony” na „cywilizowanym Zachodzie”, który tak nam przecież imponował! Powoli do ludzi dociera, że ani to naukowe, ani też Zachód wcale nie taki cywilizowany, jak się wydawało. I w interesie lewicy powinno być jak największe wspieranie tego procesu, a nie wykluczanie tych, co dali się uwieść kapitalistycznej racjonalności. Projekt lewicowy musi polegać na zmianie mentalności społecznej, na przekonywaniu, które traktuje innych jak podmioty zdolne do myślenia i zmiany zdania, a nie na tym, by jakieś lewicowe „interesy” miały w końcu większość umożliwiającą zaprowadzenie „naszych” porządków, bez względu na to, co o tym myślą inni. Kto zresztą miałby takie lewicowe interesy definiować? Czy istnieją jakiekolwiek wspólne interesy robotników, rolników,

absolwentów pracujących na umowach śmieciowych, kobiet walczących o prawo do aborcji czy ateistów nie potrafiących się odnaleźć w przesiąkniętym religią państwie? Jeśli można je wszystkie nazwać lewicowymi, to tylko na gruncie dyskusji, w której rozmaite różnice będą mogły zostać wyrażone i uwzględnione w całościowej wizji kierującej się dobrem wspólnym. Do takiej wizji trzeba umieć przekonywać, a nie marzyć o sile, która mogłaby umożliwić jej narzucenie.

Dlatego jeśli Palikot przekonuje się do socjalizmu, to można się tylko cieszyć – chyba pierwszy raz po 1989 roku ktoś z mainstreamu tak ostro i wyraźnie zaczyna mówić np. o wykluczeniu społecznym bezdomnych. Ktoś, kogo pomimo jego kontrowersyjnych happeningów nie da się łatwo zbyć łatką „roszczeniowego oszołoma”. Właśnie tego rodzaju wypowiedzi mają szansę doprowadzić do tego, że temu czy tamtej zaświta w głowie, że może jednak ten system nie jest ani najlepszy, ani jedynie możliwy. I to ma znaczenie, a nie to, czy Palikot na śniadanie miał kawę czy kawior. Tak samo jeśli szanujemy i popieramy to, co robi Kancelaria Sprawiedliwości Społecznej, to powinniśmy się cieszyć, że będzie miała na to środki, a nie dywagować, czy te pieniądze są aby czyste ideologicznie i kto może, a kto nie może być „prawdziwym lewicowcem”. Bo myślenie posługujące się takim konstruktem i odmawiające innym prawa do zmiany poglądów jest ideologicznie tożsame z myśleniem „prawdziwych Polaków”.

Autor: Małgorzata Anna Maciejewska

Źródło: [Lewica](#)

PRZYPISY

[1] I. M. Young, „Communication and the Other: Beyond Deliberative Democracy”, [w:] S. Benhabib, „Democracy and Difference”, op. cit. s. 120-121 oraz szersze omówienie w: I. M. Young, „Inclusion and Democracy”, Oxford University Press, Oxford 2000, s. 18 i nn. Tutaj model ten autorka nazywa modelem agregacyjnym.

[2] Por. S. Benhabib, „Toward a Deliberative Model of Democratic Legitimacy”, op. cit. s. 71 oraz I. M. Young, „Inclusion and Democracy”, op. cit. s. 20 i nn.